

**MICHAŁ
BAŁUCKI**

LATAWICA

Michał Bałucki

Latawica

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843994

Latawica:

Аннотация

Młody mężczyzna oraz początkująca literatka, uważająca się za wielką gwiazdę, wyjeżdżają w góry. Tam spotykają Hanke, dziewczynę, z której wielu miejscowych szydzi, bo od najmłodszych lat na każdym kroku próbuje zarobić pieniądze. Hanka oferuje swoją pomoc w najróżniejszych pracach i nie czeka na okazję zarobku – sama jej szuka. Latawica, bo tak dziewczynę nazywają, staje się obiektem zainteresowania młodej literatki. Michał Bałucki to jeden z najśłynniejszych polskich autorów okresu pozytywizmu. Bałucki znany jest przede wszystkim jako powieściopisarz i komediopisarz, był również publicystą. W twórczości prozatorskiej odwoływał się do tradycji powstańczych, a także propagował idee pozytywizmu, jako autor dramatów nawiązywał do Aleksandra Fredry. Do jego najśłynniejszych utworów należą Dom otwarty i Grube ryby.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

14

Michał Bałucki

Latawica

Z samego Krakowa jechałem do Zakopanego na jednym wózku ze sławną literatką. Literatkę – sławną, podług jej własnej opinii – nazywam Gwiazdą, gdyż na każdym kroku, w każdym przemówieniu, chciała uchodzić za ciało niebieskie, co światu przyświeca.

Gwiazda przekonaną była, że w ciągu dni kilku pozna górali z ich historją, z obyczajami, językiem i poezją – i to wszystko opisze na pożytek pokoleń. Miała też z sobą zapas różnokolorowego papieru, do wpisywania spostrzeżeń, domysłów i badań. Tylko natchnieniem – siedząc w chacie – myślała podzielić sławę i zasługę z Kolbergiem, Glogerem, Łepkowskim...

Tak myślała Gwiazda – a przecież warjatką nibyto nie była.

Przybywszy do Zakopanego, umieściłem ją na Krupówkach, gdzie niebawem zasiadła do pisania artykułu, sam zaś wróciłem z wózkiem przed karczmę, by sobie wyszukać także jakie mieszkanie, gdziebym mógł wypocząć, zmęczony jazdą i towarzystwem.

Niebawem rudy Żyd, ujrzawszy mnie przez okno, wyszedł z karczmy i począł zachwalać swoje gościnne pokoje, do których, jak utrzymywał „największe państwo” zawsze zajeżdża. Musiało tego pańskiego gatunku brakować tego roku w Zakopanem, bo

pokoje owe stały pustką – a przez otwarte okienka zobaczyłem zamiast „wielkiego państwa” starą góralkę, czeszącą kędzierzawe łebki żydowskich bachorów. Niebardzo to zachęcało do zejścia z wózka, dla bliższego obejrzenia zachwalonego mieszkanka.

Spostrzegło to kilku górali siedzących przed karczmą, zbliżyli się do mnie i poczęli radzić inne mieszkania. Jedni zachwalali dom Wali, przewodnika, drudzy Sierockiego, Wojcieszkę, Krzeptowskiego. Nim miałem czas zdecydować się na wybór, wybiegła z karczmy młoda góralka, nędznie i biednie ubrana, a zbliżywszy się do wózka i przepchawszy się gwałtem przez otaczających mnie górali, chwyciła poufale za mój rękaw i poczęła żywo przemawiać:

– A to chodźcie do nas – na Chranczówki – ot tam za rzekę. Wyonaczymy¹ wam izbę jak się patrzy, i będzie wam jak w rajcu.

– Idź precz, ty latawico, cyganko – ofuknął ją młody góral i odtrącił od wózka, a zwracając się do mnie, rzekł: nie wiercie jej, panoczku – nie jedźcie tam, bo tam obdalnio² i nieswojsko; jeszczeby was tam okradli.

– Żebyś ty tak zdrow był, jak to prawda. Ty oparo jakaś, ty – i przyskakiwała z pięścią do górala, a czarne jej oczy aż pozieleniały z gniewu. Dopiero, kiedy jej począł, niezastraszone pogroźkami, wyliczać nazwiska znakomitszych mistrzów w tej sztuce i przeróżne ich przestąpienia siódmego przykazania, powołując się na świadectwo obecnych, góralka przycichła i

¹ Wyonaczymy (gw.) – wyczyścimy. [przypis autorski]

² obdalnio (gw.) – daleko. [przypis autorski]

z pod czoła spoglądała ponuro na mówiącego. Gdy skończył, mruknęła:

– Wszędy ludzie jednako – są źli, są i dobrzy, nie tylko na Chranczówkach. Albo to u was – mówiła patrząc na mnie – nie kradną, choć macie dziandarów w miejscu i sąd przenajświętszy.

Uwaga była bardzo trafną, mimo to nie miałem wcale ochoty robić osobiście doświadczenia, ilu uczciwych, a ilu nieuczciwych ludzi znajduje się na Chranczówce i zdecydowałem się, umieścić siebie i kuferek, a z nim skromną moją kasę literacką, w jakimś bezpieczniejszym miejscu. Nie zważając tedy na dziewczynę, która nie odstępowała ani na chwilę wozu i patrzyła się zmyślnie we mnie, jakby mi chciała namysł z twarzy wyczytać, spytałem najbliższej stojącego górala:

– A gdzie ten Wala mieszka?

– Ja wam pokażę – zawołała prędko góralka, uprzedzając odpowiedź górala – jedźcie za mną.

To powiedziawszy, wybiegła naprzód i gestami zachęcała mego woźnicę, aby jechał za nią; spojrzałem na górali, radząc się ich wzrokiem, co zrobić i powtórnie odezwałem się, aby się pozbyć dziewczyny natrętnej.

– No, któż z was pokaże mi drogę?

– A niech ona pokaże, kiedy jej tak chodzi o to. Ktoby ta z nią chciał się użerać o lada krajcar, – odrzekli, z lekceważeniem spoglądając na góralkę.

– A czy ona mi dobrze pokaże?

– Ba, coby nie – jak jej godnie³ zapłacicie, to wam i rodzzonego ojca sprzeda, bo ona to za krajcarem w piekłoby poleciała. To chytra niewiasta, co strach. Żadnego gościa nie przepuści, żeby od niego coś nie wymęczyć.

– A i tak chodzi jak dziadówka – wtrącił jakiś młody.

– A, bo pieniądze na lichwę pożyczła. Mało jej to przepadło u Sobka! Powędrował na Węgry łoni⁴ i przepadł razem z papierkami⁵, co wydurzył od niej.

– Ma ona i bez tego dosyć grosza.

– I jeszcze z głodu przy nich zdechnie, bo drugiej takiej skąpej nie uświadczy⁶ w całym świecie.

Gromadka górali chórem się zaśmiała z tego. Dziewczyna nie zważała na to, zdawała się nie słyszeć, co o niej mówiono, jeno ciągle poglądała niecierpliwie na mnie i kiwała na woźnicę, aby jechał. Był to więc rodzaj faktora górskiego, równie natrętna i przyczepna, jak nasi Żydkowie. Nie mogąc się jej pozbyć, kazałem jechać za nią.

Pomimo że konik wartko przebiegał nogami, biegła równo z wózkiem, jak pies gończy. Żyłaste jej nogi i chude piersi, widocznie przyzwyczajone były do takiego biegania, bo nie męczyła się nawet, ani zadyszała. Czasami tylko pomagała sobie, czepiając się ręką wózka, i wtedy rzucała mi przeróżne pytania.

³ *godnie* – dobrze. [przypis autorski]

⁴ *łoni* (gw.) – przeszłego roku. [przypis autorski]

⁵ *papierki* – banknoty. [przypis autorski]

⁶ *nie uświadczyć* – nie zobaczyć. [przypis autorski]

– Wy tu pewnie na żętycę do nas?

– Nie. Jeno tak, dla powietrza.

– O! powietrze, że się chce oddychać; ale i żętyca dobra. Ja wam będę nosiła, dobrze? Bo ja tu wszystkim noszę z Miętusiego szafasu. Dacie mi dziesięć centów za kwartę, a dziesięć za przyniesienie – no, to was przecie nie zuboży, ale robi wam dobrze. No, nosić wam?

– Zobaczę, później.

– Ja wam także mogę listy na pocztę nosić i z posyłkami chodzić do miasta, to sobie zarobię od was którego⁷ krajcara.

– A dasz to ty radę tak biegać?

– A, ja tego od dziecka nauczona – to mi nie nowina!

– Można choroby się nabawić z takiej bieraniny.

– Kaj ta. Przyjdzie zima, to będzie czas wylegiwać się na przypiecku. A teraz, póki można co zarobić, to trzeba, żeby było na krupy i na sól.

– Kiedy ludzie mówią, że ty masz pieniądze?

Wydeła wargi z pogardliwym zadąsaniem, wstrząsnęła głową i rzekła:

– Co oni wiedzą. Gdybym miała, tobym nie chodziła jak oberwaniec jaki – o!

Tu chwyciła w palce zgrzebną, brudną koszulę i potrząsnęła nią.

– O! same strzępy. Człęk koszuli uczciwej na grzbiecie nie ma.

⁷ *którego* – jakiego. [przypis autorski]

Rzeczywiście, koszula była rozdarta w kilku miejscach, a przez łachmany przeglądało ciało chude, żylaste, opalone. Całe ubranie jej składało się z owej potarganej koszuli, niebieskiej spódnicy łatanej i żółtej chustki, która okrywała jej głowę i uszy. Z pod chustki wisiał czarny warkocz, a na czoło wychodziły kosmyki włosów, które co chwila bezwiednym ruchem wtykała pod chustkę. Nogi miała całkiem bose.

Mimo tego zaniedbania i nędzy nie była brzydka. Rysy twarzy może trochę były za ostre, ale regularne, a czarne oczy ruchliwe, mądre, nadawały im dużo życia i wyrazu. Im więcej obserwowałem moją dziką przewodniczkę, tem więcej interesującą jakoś mi się wydawała. Uroiło mi się nawet w głowie, że dziewczyna coś skrywa przed okiem ludzkim, że bieganie na posyłki w lecie, a wylegiwanie się za przypieckiem w zimie, nie może przecież stanowić jedynej treści jej życia; ciekawość kusiła mnie badać ją i zapytałem:

– Ty musisz dużo zarabiać?

– Jak się zdarzy – odpowiedziała krótko, jakby sobie nie życzyła mówić o tem dłużej.

Ta lakoniczność, za którą widziałem jakąś tajemnicę, zaostrzyła moją ciekawość. Chciałem jej znowu rzucić pytanie, gdy wtem dała znak woźnicy, aby stanął.

– To dom Wali. A to jego baba – rzekła, wskazując na młodą jeszcze dosyć góralkę, która przed chatą na murawie szyla.

– No, prowadzę wam tu gości – rzekła moja przewodniczka, wchodząc w zagrodę. Za to mi nie pożałujecie z parę dytków –

prawda?

Gaździna⁸ spojrzała wzgardliwie przez ramię na mówiącą i nie przerywając sobie roboty, odrzekła:

– Ja ta nie pytam⁹ twoich gości: u mnie obie izby zamówione.

Dziewczyzna się odwróciła ku mnie i zbliżając się do wozu, spytała:

– No, handyż¹⁰ was wieść teraz?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Niebo już pociemniało; pod drzewami i chałupami już gęsty mrok się rozsiadał, nie chciało mi się włączyć i tłuc po nocy po wsi, nie mając pewności, czy znajdę jaką wolną izbę.

Moja przewodniczka zaproponowała mi, abym u nich przenocował, to jutro łatwiej sobie poszukam jakiej uczciwej izby. Namyślałem się. Po tem co słyszałem przed karczmą na pochwałę Chranczówek, niebardzo ponętnymi mi się wydawały, szczególnie przy nadchodzącej nocy. Górkalka musiała to zmiarkować, bo rzekła:

– I czegoż się boicie? Ludziska wam nabajali, a wy wierzycie, jak w ewangelję. A ja wam gadam, że wam tam będzie lepiej, jak wszędzie. Zobaczycie. Będziemy was mieli w wielkiej obserwacji, a taniej wam wypadnie, jak we wsi.

Widząc, że się waham, dodała z pewnem oburzeniem:

– E! wstyďte się, boicie się jak stara baba. Ano na

⁸ Gaździna (gw.) – gospodyni. [przypis autorski]

⁹ nie pytam (gw.) – nie żądam. [przypis autorski]

¹⁰ handyż (gw.) – gdzież. [przypis autorski]

Chranczówkach mieszka jakaś imość z dziećmi, a nie boi się, choć nie ma takiego piszczeletu.

Tu wskazała drwiąco na mój rewolwer, co mi wyglądał z za pasa. Uderzyła w słabą strunę – i choć nie grzeszyłem zbytkiem odwagi, nie chciałem znowu tak publicznie przyznać się do tego i w oczach dziewczyny uchodzić za tchórza najlichszego gatunku. Więc poprawiłem się na siedzeniu i rzekłem niby całkiem spokojnie:

– Ha, to jedźmy na te Chranczówki. Siadaj!

– Jedźcie, jedźcie. Ja polecę przodem, pokażę drogę koniowi.

Ruszyliśmy tedy. Droga była nierówna, koła co chwila uderzały o kamienie, wózek trząśł niemiłosiernie i podskakiwał, że trzeba było trzymać się drabinek obiema rękami, żeby nie wylecieć. Woźnica biegł koło konia, świstał biczem i pogwizdywał, a góralka wyprzedziła wózek, pędząc naprzód; czasami ginęła z oczów wśród zmroku, to znowu zatrzymywała się i podierała wózek w przykrzejszych miejscach.

Pomimo, że starałem się uchodzić za odważnego, choćby dlatego, żeby nie kompromitować mego rewolweru, jednak muszę się przyznać, że niebardzo dużo tej odwagi zostało we mnie, skoro minęliśmy wieś i znalazłem się w szczerem polu. Nigdzie koło drogi nie było mieszkań ludzkich, okolica była pusta i niemiła; wśród ciemnych pól bielity się kamienne łożyska potoków, po których woda spadała z dzikim szumem. Przed nami czernił się las, który wnet nastrojona opowiadaniem górali wyobraźnia różnemi niebezpieczeństwami napełniła.

Nawet wózek księżycyca, co po granatowym niebie przesuwał się jak łódka koło skał Giewontu, wydawał mi się, jakby się skradał zdradliwie za mną i był w zмовie ze złymi ludźmi z Chranczówki. I ja, co bywało nieraz, przesyłałem mu z zaufaniem moje miłosne cierpienia, w tej chwili tałem się przed nim z brakiem odwagi, w obawie, by mnie nie wydał przed tymi, którzy z tegoby skorzystać chcieli.

Ale jakoś szczęśliwie minęliśmy ów niebezpieczny las; minęliśmy jakąś małą karczemkę, w której już ciemno było i wyjechaliśmy na otwartzsze miejsce. Na tle nieba dojrzałem ciemną postać góralki, stojącą na kupie kamieni.

– O! patrzcie, tam mieszkamy. Prosto byłoby najbliżej, ale woda za duża, toby się wózek może przefyrtnął. Trzeba będzie jechać na młyn.

– Jakto, gdzie mieszkacie? Ja tu żadnych mieszkań nie widzę – odezwałem się, usiłując napróżno coś dostrzec w ciemnej przestrzeni przed sobą.

– Tam – rzekła – o! tam na dole. Nie widzicie światła?

Spojrzałem na dół i dopiero teraz zobaczyłem tuż prawie pod nogami ale głęboko w dole parę światełek.

– To chyba w kopalni jakiej mieszkacie?

Wybuchnęła głośnym śmiechem:

– Tak wam się widzi po nocy. Zobaczycie jutro. Tu ładniejszy kraj, jak tam koło kościoła. I strach was ominie, jak się za dnia rozpatrzycie u nas.

I znowu się zaśmiała. Mnie jednak wcale na śmiech się

nie zbierało i zły byłem na siebie, że mimo perswazyj górali dałem się wywieźć w te wertepy odludne. Ale wracać było niepodobieństwem i w milczeniu poddałem się konieczności.

Głośny szum wody objaśnił mnie, że się zbliżamy do mostu. Niezadługo, wózek zjechał gdzieś w dół, koła zadudniły po moście.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.